



## **Wyspa Litlinów i Biała Góra**

Gdzieś na środku ogromnego oceanu leżała sobie nieduża wyspa. Z góry wyglądała jak wielki zielony rogal otoczony złocistą obwódką plaży. Sprawiały to przede wszystkim tropikalne drzewa i krzewy, które pokrywały zielonym dywanem całą powierzchnię wyspy. W najszerszej części tego „rogala” w niebo wystrzeliwała wysoka góra ze ściętym szczytem i zagłębieniem pośrodku. Nie była to typowa góra a dawno wygasły wulkan. Jego zbocza pokrywała zastygła tysiące lat temu lawa, a w zagłębieniu na jego szczycie jeszcze parę dni temu było błękitne jezioro. Woda z jeziora wypływała poniżej, ze stoku i spadała kaskadami na sam dół. Tam zaczynała swój bieg niewielka rzeczka – srebrna nić wijąca się wśród zieleni przez pół wyspy. Teraz po srebrnej nici pozostało tylko wilgotne, piaszczyste koryto.

Na wyspie nie stanęła nigdy ludzka stopa, a jedynymi jej mieszkańcami były ptaki, jaszczurki, żółwie morskie i... Litlinowie. Zapewne nie wiecie kim są Litlinowie, bo i skąd moglibyście to wiedzieć? A więc, to są takie małe, zwawe, włochate ludziki. Mieszka ich na tej wyspie jakieś trzy setki, choć tak naprawdę to nikt ich nie policzył, bo i kto miałby to zrobić? Litlinowie we wnętrzu wulkanu wydrążyli długie korytarze i pieczary, urządzając w nich całkiem przytulne mieszkania. I tak sobie pomieszkują na wyspie od niepamiętnych czasów.

Niestety, w ostatnich dniach nad Litlinami zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Na wyspie zabrakło słodkiej wody. Deszcz, który zasilał jezioro na szczycie wulkanu nie padał już od dwóch miesięcy. Jezioro wyschło, a razem z nim rzeczka, która z niego wypływała. Wyspę otaczały olbrzymie masy wody, ale jak wiadomo, woda morska nie nadaje się do picia. Jest zbyt słona i jej picie powoduje choroby.

Wyschnięcie jeziora było dla Litlinów czymś niespodziewanym, bo nigdy jeszcze coś takiego się nie zdarzyło. Jedynym dla nich ratunkiem było picie mleka kokosowego ale palm z orzechami było na wyspie niewiele. Ostatniego, dojrzałego kokosa Litlinowie rozłupali wczoraj wieczorem.

Na szczycie wulkanu, codziennie przesiadywał jeden z Litlinów o imieniu Wypatrywacz. Godzinami wodził oczyma po horyzoncie i obserwował ocean. Dzisiaj trudno mu już było wysiedzieć na piekącym słońcu. Od wczoraj nie pił i czuł się coraz bardziej zmęczony. Reszta Litlinów schowała się w pieczarach, gdzie jest chłodno i nie odczuwa się tak braku wody jak siedząc na słońcu.

W pewnym momencie Wypatrywacz wyteżył wzrok i zerwał się na równe nogi. A potem szybko zaczął biec w dół wulkanu, w stronę pieczary Wielkiego Dywyla - wodza wszystkich Litlinów.

Wielki Dywyl pólleżał a pól siedział w swojej skalnej koi i odpoczywał. Długie włosy wyrastające z każdego zakątka jego ciała tworzyły naturane posłanie i sprawiały, że było mu miękko i wygodnie. W ten sposób odpoczywali zresztą wszyscy Litlinowie. W pomieszczeniu, oprócz Wielkiego Dywyla, przebywał także Szanowny Ryzgrif - doradca wodza Litlinów. Siedział w pobliżu wejścia do pieczary i patrzył błędnym wzrokiem na czubki drzew. Tak bardzo chciało mu się pić... Ten wględny spokój zakłóciło nagle wtargnięcie Wypatrywacza.

- Wielki Dywylu! – krzyknął wbiegając do pieczary – Wielki Dywylu!

Przywódca Litlinów wzdrygnął się, otworzył duże, swoje oczy i popatrzył nieprzytomnie na Wypatrywacza, jakby obudzony z głębokiego snu.

- Wielki Dywylu! Coś dziwnego na horyzoncie!

- Dziwnego? Cóż dziwnego Wypatrywaczu? - Wielki Dywyl oprzytomniał i utkwiał w przybyszu pytające spojrzenie.

- Błyszczą jak najjaśniejsze gwiazdy na niebie! – poinformował przejęty Wypatrywacz.

- To ciekawe, może to burza z piorunami? Może błyskawice tak błyszczą Wypatrywaczu!  
- z nadzieją w głosie krzyknął Wielki Dywyl. - A wraz z burzą deszcz, dużo deszczu!

- To nie burza Wielki Dywylu, niebo jest czyste po sam horyzont, to coś innego.

- Chodźmy zobaczyć – wódz Litlinów podniósł się z leżanki i ruszył do wyjścia. Szanowny Ryzgrif także się zerwał i podążył za nimi.

Ruszyli w górę skalną, wąską ścieżką, która niczym wijące się pnącze oplatała wygasły wulkan. Dróżkę zbudowali przodkowie obecnych Litlinów, żeby móc bez problemu wspinać się na szczyt góry. Wpatrywanie się w ocean należało do ich ulubionych rozrywek. Szczególną atrakcją były olbrzymie wieloryby, które wyrzucały w górę wysokie fontanny, tworząc przy tym niesamowite tęcze. Tym razem na oceanie nie było wielorybów. Nie mogło ich być, bo to nie była ta pora roku. Już w połowie drogi na szczyt, Wielki Dywyl i Szanowny Ryzgrif przekonali się, że Wypatrywacz rzeczywiście dojrzał coś niezwykłego. To coś błyszczało niemal jak drugie słońce na horyzoncie.

Cała trójka przystanęła wpatrując się w ocean ale po chwili ruszyli dalej i po pewnym czasie znaleźli się na samym wierzchołku góry. Tuż na wyciągnięcie ręki mieli wyschnięty lej po jeziorze, a przed sobą widok na całą wyspę i bezmiar oceanu. I właśnie na oceanie, po stronie przeciwnej do słońca błyszczało coś, czego żaden z Litlinów nie potrafił nazwać.

Wieść o tym niespotykanym zjawisku sprawiła, że wkrótce wszyscy niemal Litlinowie, pomimo tego, że bardzo chciało im się pić, siedzieli na szczycie góry i z otwartymi buziami patrzyli na błyszczące w dali "coś". To coś bez wątpienia zbliżało się do ich wyspy, bo było coraz większe i jaśniejsze. Spektakl ten trwał aż do zachodu słońca. Kiedy słońce zaszło, wraz z nim zgasła tajemnicza gwiazda na horyzoncie.

Litlinowie wrócili do swoich mieszkań we wnętrzu wulkanu ale myśl o dziwnym zjawisku i dokuczliwe pragnienie długo nie pozwalały im zasnąć. Wielki Dywyl polecił Wypatrywaczowi, żeby został i obserwował, czy nie wydarzy się coś niepokojącego. Pozostało z nim kilku młodych Litlinów.

Noc minęła spokojnie. Litlinowie wytrzeszczali oczy w ciemnościach ale noc była bezkسیężycowa i nic nie było widać poza rozgwieżdżonym niebem. W końcu jeden po drugim usnęli. Najdłużej czuwał Wypatrywacz ale i jemu w końcu opadły powieki.

Jeszcze zanim zaczęło świtać, na wyspie zrobiło się dziwnie chłodno i mglisto. A potem nastąpił silny wstrząs. Wydawało się jakby zadrżała cała wyspa. Wypatrywacz i reszta Litlinów śpiących na szczycie wulkanu obudziła się ogarnięta niepokojem. Po chwili nastąpił jeszcze

większy wstrząs. Z szarości mglistego poranka wyłoniło się coś zupełnie dla Litlinów niepojętego. Prerażeni zaczęli uciekać w dół góry.

Świtało. Wystraszeni Litlinowie zbierali się wokół siedziby Wielkiego Dywyla. Gdy dotarł tutaj Wypatrywacz, nie mógł z początku wydobyć słowa.

- Biała Góra! – wydusił w końcu – Biała Góra przybyła pożreć Wyspę Litlinów!

Jakby na potwierdzenie tych słów, całkiem niedaleko, dał się słyszeć ciężki pomruk i skrzypienie. A potem nastała cisza. Wyspa Litlinów, wbrew zapowiedzi Wypatrywacza, nie została pożarta. Wraz ze wschodem słońca, Wielki Dywyl uznał, że musi dać przykład i odważnie ruszył na drugą stronę wulkanu. Tuż za nim podążył Szanowny Ryzgryf, Wypatrywacz i setka innych Litlinów.

Gdy dotarli na drugą stronę, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Tam gdzie powinien być ocean była teraz wielka, biała góra. Większa od góry w której mieszkali Litlinowie. Tak wielka, że niemal dorównywała wielkością wyspie. Zdawało się, jakby ten biały ląd przybił do Wyspy Litlinów i zczepił się z nią. Pomiędzy plażą a tajemniczą, białą górą pozostała tylko wąska wstążka spokojnej tafli morskiej wody.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, a ty Szanowny Ryzgryfie? - spytał Wielki Dywyl.

- Nasz koniec jest bliski Wielki Dywylu - powiedział z obłędem w oczach Szanowny Ryzgryf. - Nie ma wody, nie ma co pić, a teraz jeszcze to...

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy część białej góry oderwała się i spadła w ocean, powodując olbrzymi plusk i wielkie fale, które zaczęły bić o brzeg wyspy niczym podczas największego sztormu. Litlinowie cofnęli się w przestkach. Po chwili oderwane fragmenty białej góry wynurzyły się na powierzchnię wody.

- Patrzenie! Białe skały unoszą się na wodzie! - krzyknął któryś z Litlinów.

- To niemożliwe, przecież skały nie mogą pływać... - jęknął Szanowny Ryzgryf.

A jednak. Białe fragmenty unosiły się na wodzie, a kilka z nich woda wyrzuciła na brzeg.

Widząc to, Wypatrywacz ruszył w stronę plaży.

- Gdzie idziesz Wypatrywaczu? - przeraził się Wielki Dywyl - to może być niebezpieczne!

- Wszystko mi jedno, i tak niedługo umrzemy z braku wody.

Wielki Dywyl nic na to nie odparł. Wiedział, że Wypatrywacz ma rację. Jeśli w ciągu trzech, najpóźniej czterech dni, nie spadnie deszcz, Litlinowie będą zgubieni. Gdy jednak kilku innych Litlinów chciało pójść za Wypatrywaczem, zatrzymał ich.

- Nie idźcie tam. Zaczekamy, aż Wypatrywacz zbada sprawę.

Wypatrywacz zszedł do podnóża wulkanu, przeszedł ścieżką przez wąski pas drzew i ostrożnie wszedł na plażę. Zbliżył się do białych brył zalegających na piasku. Kilka innych

dryfowało sobie spokojnie w morskiej wodzie. Wielki biały przybysz tkwił nieruchomo w oceanie, jakby był tu od zawsze.

Wypatrywacz pochylił się nad najmniejszą, tajemniczą bryłką. Nieśmiało dotknął jej dłonią, po czym natychmiast cofnął ją jak oparzony. Bryła nie była jednak gorąca. Była zimna, nawet bardzo zimna. Wypatrywacz znów jej dotknął i stwierdził, że ten chłód jest nieszkodliwy a nawet przyjemny. Spojrzał na swoją dłoń i zobaczył, że jest mokra. Polizał rękę...

Minęło trochę czasu zanim Wypatrywacz znów pojawił się wśród Litlinów. W rękach niósł spory, biały kamień i szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Biała Góra przybyła, żeby nas uratować! - oświadczył, ciskając znalezisko u stóp Wielkiego Dywyla.

- Uratować? Ale jak? Jak to!? - przekrzykiwali się Litlinowie.

Wypatrywacz wskazał ruchem głowy na błyszczący w słońcu kamień.

- Patrzcie co się stanie.

Już po chwili, spod kamienia zaczęła się sączyć cieniutka strużka wody.

Szanowny Ryzgryf ostrożnie zamoczył w niej palec i z niedowierzaniem podniósł do ust.

- Woda! Prawdziwa, słodka woda! - krzyknął.

Podniosła się wielka wrzawa. Każdy Litlin chciał dotykać a nawet lizać przyniesiony przez Wypatrywacza cud. Wkrótce po znalezisku została tylko mokra plama.

- Na plażę! - ryknął ktoś z tłumu i wkrótce rozradowana zgraja wybiegła na plażę i rzuciła się do wody, żeby wyciągać na brzeg magiczne kamienie. Do wieczora, koja każdego Litlina wypełniona była po brzegi lodem.

I tak było przez cały miesiąc. Litlinowie taszczyli wielkie bryły, które odrywały się od lodowej góry, tłukli je i zanosili do swoich pieczar. W tropikalnym słońcu góra topiła się bardzo szybko. Z dnia na dzień stawała się coraz mniejsza i mniejsza. A w dniu w którym zupełnie zniknęła, do Wielkiego Dywyla przybiegł Wypatrywacz.

- Wielki Dywyłu! Wielki Dywyłu! Coś dziwnego na horyzoncie!

Wielki Dywyl wyszedł z Wypatrywaczem na szczyt wulkanu i uśmiechnął się szeroko.

Horyzont zasnuły ciemne chmury, co rusz rozjaśniane przez jasne promyki błyskawic.

- Deszcz... dzisiaj spadnie dużo deszczu...

I rzeczywiście. Deszcz zaczął padać i padał tak przez kilkanaście dni. Jezioro na szczycie wulkanu wypełniło się po brzegi i znów zaczął wypływać z niego strumień życiodajnej wody.

A na pamiątkę niezwykłego wydarzenia, co roku, Litlinowie obchodzą Święto Białej Góry. A jak ono wygląda? O tym opowiemy może innym razem...